

## Paweł Chojnacki Krytyka i historia. O *Scenie w kaplicy* Zygmunta Nowakowskiego

Wyjątkowa to okazja przedstawić niepublikowany tekst człowieka, który określał siebie (mając na myśli maszynę do pisania) jako *machinae adscriptus*, który schodząc z przedwojennego mostku prominentnego felietonisty i bestsellerowego literata, przykuł się do wychodźczej galery dziennikarskich słów – w ohotniczej wszakże służbie walki z tyranami XX wieku. *Scena w kaplicy* to tekst pochodzący z czerwca 1946 roku, który miał się ukazać w odnowionych po wojnie londyńskich „Wiadomościach”, redagowanych przez Mieczysława Grydzewskiego, ale ostatecznie nigdy nie został opublikowany.

Oczywiście – samobiczowanie się łaciną kryje żurnalistyczną przesadę, ale faktem jest, iż Zygmunt Nowakowski (Kraków 1891 – Londyn 1963) zwykle zasiadał nad materiałem już „obstalowanym” – często w ramach ustalonych tematycznie odcinków czy periodycznych cykli. W jego papierach w Bibliotece Polskiej w Londynie zachowało się niewiele maszynopisów (BPL 1255/Rkp), których nie umiemy przyporządkować drukowanym pracom. Z reguły to odczyty – ich fragmenty zresztą włączał niekiedy do wariantów artykułów.

Toruńskiemu Archiwum Emigracji i zgromadzonej tam kolekcji związanej z tygodnikami „Wiadomości Polskie, Polityczne i Literackie” oraz „Wiadomości” (AE AW/CCXXVI) zawdzięczamy natomiast możliwość sięgnięcia do poczty tego niewątpliwego zawodowca do drugiego fachmana – założyciela i redaktora obu tytułów, a wcześniej „Wiadomości Literackich” – Mieczysława Grydzewskiego (Warszawa 1894 – Londyn 1970). „Wiadomości Polskie, Polityczne i Literackie” w latach 1940–1944 prowadzą wspólnie, ale Nowakowski formalnie jako „naczelnym”. Wyzna gorzko 12 lipca 1946 roku: „Twój list w sprawie polemiki ze Strońskim bardzo mnie zmartwił, choć wiedziałem od dawna, bo mniej więcej od trzeciego numeru «Wiadomości», że musimy się rozstać. Przeciąganie tej sytuacji nie ma najmniejszego sensu. Im prędzej, tym... kulturalniej, w tym lepszej formie”. Właśnie niedoszłej dyskusji ze Stanisławem Strońskim dotyczy odszukany dokument i zwłaszcza jej poświęćmy wstępne rozważania.

We wspomnianym trzecim numerze odnowionego czasopisma z 21 kwietnia 1946 roku dominuje wykład Tymona Terleckiego *Mickiewicz i my* – przedruk odczytu z serii o literaturze zorganizowanej przez Stowarzyszenie Polskich Kombatantów. Ferment narasta od 28 kwietnia, gdy Nowakowski wyjawia redaktorowi: „Szczerze muszę powiedzieć, że Terlecki zabrał o 90% za dużo miejsca. Wystarczyłoby kilkadziesiąt wierszy”. W prelekcyjnym przedsięwzięciu, prezentując

własny szkic o Wieszczu, też uczestniczy... Czy tłumaczy to źródło krytyki? A może spotęgowały ją skrótów? Żali się 4 maja: „[...] zabolaly mnie do żywego skreślenia, głównie dotyczące «Synów Ewy». Przecież to ze starej pieśni” („Do Ciebie wołamy wygnańcy, synowie Ewy / Do Ciebie wzdychamy, jęcząc i płacząc na tym leż padole...” z *Salve Regina*). Adnotacja piórem: „Rozpłakałem się”. Prześwietlana edycja „Wiadomości” zawierała tekst *Noc Wielka*, gdzie padają słowa: „Rozwój wypadków budzi w naszych duszach myśli czarne i bezbożne. Jesteśmy skłonni do bluźnierstwa. Zawód i zwątpienie wywołują w nas obawę, że na przekór naszej tęsknocie i wierze, tego roku nie Chrystus zmartwychwstanie, ale kto inny. Że zmartwychwstaną dwaj łotry. [...] Dziś nie ma pewnika żadnego, wszystko zaś jest w stanie płynnym, wszystko – dosłownie – płynie, a raczej tonie we krwi, w pocie, we łzach, w brudzie, głównie w kłamstwie”.

Pyta bezradnie: „Czy świat się może odrodzić na gruncie kłamstwa?”. W artykułach świątecznych nie tyle się specjalizował, ile pożądały ich współpracujące z nim redakcje. Rok wcześniej, w jerozolimskim „Dzienniku Żołnierza Armii Polskiej na Wschodzie” (1 kwietnia 1945 roku, *Pieśń Zmartwychwstania triumfuje*), zauważył: „W wielkim Tygodniu, pośród wielu nabożeństw, jedno wydaje mi się być najbardziej ponure: ciemna jutrznia. W miarę śpiewania psalmów pokutnych, gaśnie jedna świeca po drugiej i następuje mrok coraz, coraz gęstszy. Nasza, polska ciemna jutrznia trwa od sześciu lat i co roku zdaje się gasnąć przed naszymi oczyma jedna świeca. – Ciemność zapada gruba i w tej ciemności droga powrotu do Polski oddala się [...]. Szósta Wielkanoc poza domem!”. Ale przecie: „Nie przestaniemy ani na chwilę najkrótszą marzyć i nie przestaniemy walczyć, chociaż gruby mrok spowija przyszłość przed nami”. W siódmą Paschę mniej ma już nadziei. Stan nastrojów w tym czasie na emigracji był fatalny.

Adwersarz, Stanisław Stroński (Nisko 1882 – Londyn 1955), bez wątpienia drażni krajana. Nowakowski w listach do Grydzewskiego często popuszcza wodzy. Ocenia: „Stroński okropnie nudny” (4 maja o trzecim odcinku serii *W Krakowie 1910–1920*, „Wiadomości”, 5 maja 1946 roku). Szydzi: „Przesyłam Ci gawędę o lekarzach krakowskich. Rzecz może niżej poziomu gawęd krakowskich Strońskiego...” (17 stycznia 1948 roku). Kwalifikuje: „Artykuł Strońskiego raczej dobry, ale ten człowiek nie umie pisać w sposób prosty, nie wykrętny” (28 kwietnia 1948 roku). Rzadko chwali: „Jestem zachwycony tym, co napisał Stroński o swoich latach szkolnych [...] prostota a pełna wyjątkowego polotu. [...]. Pogratuluj mu telefonicznie”. Ale i natychmiast przyspili: „Ach, gdyby on tak zawsze pisał! W tej odpowiedzi starca jest młodzieńczy pazur” (16 czerwca 1949 roku). Wyrafinowany profesor-romanista i zarazem brutalny polityk, zawzięty cenzor „Wiadomości Polskich” (w miarę lat utrzyma jedynie pierwsze wcielenie) to częsty bohater tej korespondencji, uczestnik wzajemnych kontaktów i obiekt licznych anegdot. Krytykant podsumuje w 1946 roku: „On już tylko rejestruje fakty, nie mogąc zdobyć się na sąd”. Gdy jednak ośmieli się, nie ujdzie mu to płazem.

W numerze datowanym 14 lipca ogłosi pod tytułem *Książka bez nadziei* recenzję głośnych *Lat nadziei* Stanisława Cata-Mackiewicza. Swoje omówienie Nowakowski zamieścił pierwszy. Padają wersy, które jako kolejne winniśmy

przełać do sztambucha: „W tragedii Europy, w tragedii świata występuje pewien czynnik, jakby nadprzyrodzony, jakaś konieczność, jakieś fatum. To zjawisko trudne do wyjaśnienia, o zasięgu kosmicznym, nieobliczalne, wymykające się z rąk ludzkich. [...] Jesteśmy świadkami przerażającego absurdu, który wyraża się tym, że lepiej jest być pobitym w wojnie niż zwyciężyć. Kłamstwem jest zwycięstwo i kłamstwem jest odbudowa pokoju” (*L'éléphant terrible*, „Wiadomości”, 26 maja 1946 roku).

Teraz publicznie stwierdzi: „Artykuł prof. Stanisława Strońskiego [...] zmusza mnie do zabrania głosu” (*„Nienaganny” traktat*, „Wiadomości”, 11 sierpnia 1946 roku). A nagli autora pierwszej kardynalnej odprawy danej umowie Sikorski–Majski z 30 lipca 1941 roku (*Kiwerowa górką*, „Wiadomości Polskie”, 10 sierpnia 1941 roku) nazwanie przez dawnego ministra informacji w rządzie gen. Władysława Sikorskiego tego aktu słowem „nienaganny”. Przecież brak zawarcia w porozumieniu gwarancji dla granic wschodnich Rzeczypospolitej oraz zgoda na użycie uwłaczającej formuły „amnestia” dla uwolnienia zesłańców oznacza początek polityki ustępstw, które prowadzą do Jałty, utraty połowy terytorium i niepodległości: „Prof. Stroński broni owego «nienagannego» układu w sposób tak scholastyczny, tak abstrakcyjny, jakby ta rzecz rozegrała się na księżycu, nie w kategoriach czasu i przestrzeni, oraz nie w środowisku ludzkim, które chwala Bogu, jeszcze żyje i jeszcze nie popadło w stan sklerozy, wykluczający normalne funkcjonowanie pamięci”.

Zważmy, że jako sztandarowy wyraziciel linii krytykującej układ ma niezbywalne prawo do wystąpienia. Pozostanie nim jednak notka bardziej niż pełnokrwisty esej – dowód na to, co uda się w tej kwestii wytargować. Dwornie asekuje się, robiąc dobrą minę do złej gry: „Godząc się z faktem, że pewni publicyści polemizują ze mną, sam stale unikam polemiki, gdyż wiem, że redakcja «Wiadomości» ma bardzo wiele bieżącego materiału, dla którego nie może znaleźć dość miejsca na swoich szczupłych dwóch kolumnach”. Oba teksty dostępne są w sieci (Kujawsko-Pomorska Biblioteka Cyfrowa), nie ma więc potrzeby, by obszerniej je cytować. Inaczej jest z manuskrypcem zasadniczej repliki. Tło znamy – Grydzewski ją odrzucił. Przykrą tamę stara się Nowakowski tuszować we wstępie do zminimalizowanej reakcji, jedynej, która ujrzała światło dzienne.

Więcej wyjaśnia w korespondencji z 12 lipca: „Nie pisałbym artykułu o Sikorskim, gdybyś nie umieścił bezczelnego artykułu Strońskiego. «Wiadomości Polskie» były niewątpliwie Twoim dziełem, ale było w nich i coś mojego. Provokacja, którą napisał Stroński, przekreśla w każdym razie to, co było moim udziałem w «Wiadomościach Polskich». Stąd wywodzi się moja riposta. [...] Ty masz za sobą dwadzieścia kilka lat redagowania pisma, ja trochę mniej lat pisanania felietonów. Nie mogę w żaden sposób pogodzić się z tym, że uczysz mnie, jak i o czym pisać. W tych warunkach muszę zrezygnować z współpracy, która właściwie była dyktatem z Twojej strony – od pierwszego numeru «Wiadomości»”. Znów odręcznie: „pełen żalu ale i przyjaźni Zygmunt”. Spięcie niezależnego publicysty z kiedyś wpływowym politykiem – w żarze dyskusji, która od pięciu lat prostuje kręgosłup Wychodźstwa Niepodległościowego – obróci się w zwadę

współpracowników tego samego tytułu. Zaowocuje zerwaniem jednego z autorów z „szefem”, dotychczas równorzędnym stronnikiem.

Rozłąka nie jest łatwa. Przeżywający podobne rozterki Józef Mackiewicz, chociaż nie powiązany emocjonalnie z redaktorem, rzuci 12 czerwca 1953 roku do Michała K. Pawlikowskiego: „Pokłócić się z Giedroyciem, pokłócić się z Grydzewskim i pisać do szuflady?” (Józef Mackiewicz, Barbara Toporska, Michał K. Pawlikowski, *Listy*, opracowała i przypisami opatrzyła Nina Karsov, *Dziela*, t. 34, Londyn 2022). Adresat skieruje kiedyś do „źródła” wymowne słowa: „Jest Pan dyktatorem «Wiadomości» i wiem, że parafrazując słowa Tadeusza (o Telimenie) – «nic (i nikt) Pana nie uprosi»” (20 października 1960 roku, Michał K. Pawlikowski, *Listy do redaktorów „Wiadomości”*, oprac. i przypisami opatrzył Piotr Rambowicz, konsultacja edytorska Beata Dorosz, Toruń 2014). Tym bardziej że w atakującej go wciąż „Kulturze” Nowakowski nigdy nie publikował.

Wytrawny despota potrafi w jakiś sposób zażegnać lament. Już 19 lipca Zygmunt żegna przyjaciela w lepszym humorze: „Ściskam Cię i proszę o zwrot artykułu w sprawie prowokacji zrobionej przez Strońskiego. Nie myśl, że to Ci się upieczą!”. Ale chyba się upiekło. Tym razem.

Obszerna odpowiedź zostanie na zawsze w maszynopisie odkrytym w archiwum londyńskiej księżnicy. Sporządzony jednostronnie na ośmiu numerowanych kartach bez marginesów i opatrzony w nagłówku oryginalnym tytułem, zawiera odręczne poprawki i wstawki czerwonym piórem. Korektę Zygmunta Nowakowskiego uwzględniono, lecz przygotowując do druku – pierwotnych wersji nie zaznaczono. Ripostę czyta się jak nowelę, zawiera ona również typowe dla stylu autora odniesienia do klasyki literackiej. Nie podajemy tu jednakże źródła historycznego, może – może przyjdzie czas oraz pojawią się okoliczności, by kiedyś dokument opracować. Na razie – podobnie jak we wcześniejszych cytatach – uwspółcześniono pisownię i wprowadzono interpunkcję według panujących zasad.

Traktujemy to dzieło jako pamiątkę prozy publicystycznej, osadzonej w osobistym doświadczeniu autora: dziennikarza, prozaika i redaktora obciążonego dodatkowo dużym zakresem pracy społecznej. O ile korespondencja Nowakowski – Grydzewski ukazuje relacje pomiędzy zewnętrznym kooperantem gazety, a jej twórcą, wydawcą (nieśmiertelne zwanie, jak „landlorda” z lokatorem), to role grane przez obydwo w (na?) *Scenie w kaplicy* przeobrażają ich miejsca na deskach odtwarzanego spektaklu. Stają ramię w ramię w szranki ze światem wielkiej i drobnej polityki, globalnej i personalnej rozgrywki. Miniaturę cechuje skondensowana refleksja, ale i jasny styl. Wymowa polemicznego obrazka jest zrozumiała, tak więc pierwsza – literacka – edycja zabytku nie wymaga didaskaliów. Poza kilkoma, które, łamiąc konwencję, podamy przed artykułem. Dotyczy on przede wszystkim źródeł wyłonienia się w 1941 roku ponadpartyjnej i pozaideologicznej formacji niezłomnych, kluczowej w zmaganiach o suwerenność polskiej kultury od lat czterdziestych XX wieku – pośrednio – do dzisiaj. Nowakowski nazywa ten bardziej duchowy niż formalno-polityczny sojusz po prostu „opozycją”.

Widokowi dramatycznej scysji z – podobnie jak Stroński ministrem oraz profesorem – Stanisławem Kotem przyda rumieńców wzmianka, że przyjaźnili się przed 1939 rokiem. Słynny felietonista „Ilustrowanego Kuryera Codziennego” stawał w obronie antysanacyjnego polityka (np. krytykując blokadę paszportu). Protokoły z posiedzeń namiastki emigracyjnego parlamentu – Rady Narodowej, do których odwołuje się autor, znane są tylko do 15 lipca 1941 roku. *Dziennik czynności Naczelnego Wodza gen. Władysława Sikorskiego* (t. II, 1 VIII 1940 – 31 VII 1941, wstęp i redakcja naukowa Jarosław Rybiński, oprac. dokumentów Jarosław Rybiński, Jadwiga Kowalska, Ewa Rzeczowska, Lublin 2017) nie obejmuje interesującego nas okresu. Rejestruje wcześniejsze londyńskie spotkania: 1 sierpnia 1940 roku – zbiorową herbatę dla członków Rady Narodowej wraz z prezydentem Władysławem Raczkiewiczem i wszystkimi ministrami, audiencje osobiste 7 września i 4 listopada tego roku oraz 3 stycznia 1941 roku. Dnia 12 września 1940 roku odnotowana jest wspólna rozmowa ze Strońskim i Grydzewskim.

Dzięki uprzejmej informacji od Jarosława Rybińskiego, redaktora naukowego *Dziennika czynności...*, wiemy, że rozmowa „w Bryanston Court, przed którymś z rządu wyjazdem generała do Rosji” (pomyłka – Sikorski wizytował Sowiety raz, w listopadzie-grudniu 1941 roku) odnotowana zostaje w nieopublikowanej jeszcze części diariusza – 25 października, w godzinach 15.05–15.30. Jeśli chodzi o drugie spotkanie („przełom lutego/marca 1943”) to punktem zaczepienia pozostaje 4 marca, godz. 15.30, zapis: „Konferencja prasowa – cała prasa polska”. Trwała do około 16.45 i odbyła się w Pałacu Rotschildów przy Kensington Palace Gardens.

Wzmiankowany „niezmiernie ciekawy list pewnego ministra, który jest do dziś dnia ministrem”, nie zachował się w „archiwum redakcji «Wiadomości Polskich»”, gdyż – w przeciwieństwie do zbiorów swego „bezzprzymiotnikowego” następcy – przetrwało szczątkowo. List gen. Mariana Kukiela z 25 sierpnia 1941 roku („Nie straciliśmy nic, ani piędzi ziemi, bośmy się niczego nie rzekli”) znalazłem w prywatnym archiwum pisarza. Cytuję jego fragment oraz reprodukcję całość w biografii (Paweł Chojnacki, *Reemigrejtan. Kiedy Zygmunt Nowakowski wróci wreszcie do Krakowa?!*, Kraków 2019). Zahipnotyzowanie „dyktatorem «Wiadomości»” spowodowało chyba freudowską pomyłkę nadania imienia „Mieczysław” Józefowi Hieronimowi Retingerowi. „Ten człowiek jest mimo wszystko sympatyczny i ma w sobie pierwiastek fantazji, ale reklama «zawodowy Europejczyk» jest czymś potwornym” – uświadamia Grydzewskiego 9 maja 1948 roku, lecz projekt felietonu pt. *Retinger – En face* nie zostaje podchwycony. Kolejną odmowę rekompensują urocze złośliwości w tekście o Winstonie Churchillu (*Diabeł w ornacie*, „Wiadomości”, 13 czerwca 1948 roku).

Na większą otwartość opowieści o kulminacyjnym zwarciu z premierem i Naczelnym Wodzem pozwoli sobie Zygmunt Nowakowski po z górą roku, w kontekście następných polemik, w redagowanym przez Cata „Lwowie i Wilnie”. W *Liście do redakcji* z 3 listopada 1947 roku drugą rozmowę usytuuje „na przełomie stycznia i lutego 1943” i przytoczy te same stychomytia:

Pamiętam dokładnie tylko te dwa krótkie zdania, reszty nie mogę i nie chcę przytoczyć. To pewna, że generał uniósł się i dał folgę gniewowi w formie bardzo ostrej, ja zaś nie pozostawałem w tyle, przeciwnie, mówiłem równie głośno, jak generał, i równie silnie biłem pięścią w stół. Była to scena w najwyższym stopniu przykra [...]. Gdy nastąpiło uspokojenie, generał oddał mi głos, jednakże oświadczyłem, że w tych warunkach nie mogę przemawiać. Wyrezył mnie ówczesny redaktor „Myśli Polskiej”, p. [Marian Emil] Rojek, ale nastrój był tak fatalny, że odprawa skończyła się rychło. Przed rozejściem się, generał Sikorski rzekł do mnie kilka słów w tonie pojednawczym, na co tak samo odpowiedziałem. Podaliśmy sobie ręce.

Należy żałować, że nie uczynił tego drażliwego tematu przedmiotem pełniejszej spowiedzi pod koniec swych dni, po kolejnej – tym razem kilkuletniej – przerwie we współpracy z tygodnikiem. Tak stało się z lwowskim „*Zamachem stanu*” z września 1939 („Wiadomości”, 30 września 1962), także ściśle połączonym z osobą dawnego przyjaciela i sojusznika – gen. Władysława Sikorskiego.

Jeśli odnalezienie ineditum Zygmunta Nowakowskiego samo w sobie stanowi niecodzienne wydarzenie – jak nazwać pojawienie się jego nazwiska na kartach „Twórczości”? To prawdziwe złamanie schematu. Czyż nie ofiarował miesięcznikowi wzmianek, do których należy ta z 1950 roku: „Krajowy miesięcznik «Twórczość» (żałosna)” (*Pomnożenie Tatr*, „Wiadomości”, 19 listopada)? Choć nie poświęcił tytułowi osobnego szkicu, jak np. innym komunistycznym periodykom kulturalnym („Rzeczy Teatralne”, „Teatr”, *Obory*, „Wiadomości”, 19 lutego 1950 roku), to założyciel i pierwszy jego redaktor cieszył się uwagą: „Lechoń ubiera literaturę w blaski i tęcze, Wyka rozbiera ją jak natrętny urzędnik celny, który szuka szmugłu” („*Przypadkowy historyk*”, „Wiadomości”, 9 czerwca 1957 roku) – wszak „Polacy nie... Wyki, iż swój język mają” (*Adekwatna definicja*, „Wiadomości”, 25 listopada 1951 roku). O *Przewodniku po Krakowie* „zaopatrzone obrzydliwym przedśłowiem Adama Polewki” wyda wyrok: „Do dziś dnia odbija mi się po tym paskudztwie, którego nie wstydziliby się Włodzimierz Sorkorski, Stefan Żółkiewski, a nawet najgorliwszy z gorliwców, Kazimierz Wyka” (*Pierwsza polska epopeja*, „Wiadomości”, 30 grudnia 1951 roku).

Zapraszam do lektury nieznanego artykułu, który poruszając elementarne prawdy założycielskie emigracji niezłomnej, wychodzi daleko poza wychodzącą specjalizację. Podobnie jak w ciągu kilku dziesięcioleci XIX wieku – od końca lat czterdziestych po drugą połowę siedemdziesiątych XX wieku duchowa historia Polski przeniosła się poza jej geograficzne granice. Pytanie, gdzie podziewa się w ciągu następnych dekad?

## Zygmunt Nowakowski

# Scena w kaplicy

Stanisław Mackiewicz, pisząc książkę-klepsydrę pt. *Lata Nadziei*, zabawił się jakby w guślarza z *Dziadów*. Rzucił na ogień nie tyle pęk suchego łuczywa, ile mnóstwo papieru, po czym „zawrzało, buchnęło” i... nie zgasło. Stanisław Stroński, pisząc recenzję z książki Mackiewicza, dołożył wszelkich starań, by pewne sprawy zgasły w pamięci. Lecz one zgasnąć nie mogą, na przekór wysiłkom kierownika Instytutu Historycznego im. generała Władysława Sikorskiego. Z rzetelną przykrością poruszam ten temat.

Wszystko, co w swej recenzji pisze profesor Stroński, jest interesujące, żywe, logiczne, podczas gdy wszystko, co pisze w tej samej recenzji minister Stroński, nie odznacza się owymi zaletami. M.in. minister Stroński nazywa układ z Rosją, zawarty w lipcu 1941 r., „nienagannym”, przy czym, podkreślając zalety owego traktatu, zapomina w zupełności, że pięć lat temu dokonał się w świadomości emigracji głęboki wstrząs, którego wyrazem była opozycja przeciwko traktatowi i przeciwko twórcy traktatu. Podzieliliśmy się wtedy na dwa obozy.

Muszę i ja zabawić się w guślarza z II części *Dziadów*. Jesteśmy nie w kaplicy, ale w sali Rady Narodowej, na uroczystym posiedzeniu, w ciągu którego generał Sikorski mówi o traktacie w sposób entuzjastyczny, entuzjazm zaś ten udziela się przeważającej liczbie członków Rady. Po referacie padają rzadkie pytania. Ostatnie z nich zadał – chyba mnie pamięć nie myli, zresztą można to stwierdzić w protokole, jak można zapytać i samego interpelanta – poseł Stanisław Józwiak. Poprosił on o wyjaśnienie, czy traktat oznacza powrót do granic ryskich. Odpowiedź (rekonstruuje ją z pamięci) brzmiała bardzo a bardzo niewyraźnie. Generał odpowiedział mniej więcej słowami: „No, niezupełnie tak, panie pośle..”. Wkrótce potem wstał i posiedzenie skończono. Mrozem powiało po sali.

(Dla ścisłości spytałem interpelanta, który streścił mi odpowiedź generała Sikorskiego w słowach: „Jako całość – tak, ale jeżeli w drodze korektury zabiorą nam jakieś bagienko, nie będziemy się bili”.)

W każdym razie powiało po nas wielu mrozem. „Nienaganny” układ zaczął budzić z godziny na godzinę coraz więcej wątpliwości i obaw, choć szczegóły trzymano w tajemnicy. Lecz nie udało się utrzymać sekretu zbyt długo, zwłaszcza, że Prezydent Rzeczypospolitej wystąpił przeciwko podpisaniu traktatu, że w łonie rządu powstało przesilenie, że Stronnictwo Narodowo-Demokratyczne wyrzuciło pewnych sybarytów poza nawias, że – w dalszym rozwoju wypadków – rozwiązano Radę Narodową, że jednym słowem, powstała opozycja. Minister

Stroński w swej recenzji pomija w zupełności ten drobiazg, że już w pierwszych dniach sierpnia 1941 r. tzw. „jedność narodowa” stanowiła zupełną fikcję.

Dnia 1 sierpnia 1941 r. w piątek zostałem wezwany telegraficznie ze wsi do Londynu przez współredaktora „Wiadomości Polskich”, Dra Grydzewskiego. Doniósł mi, że przyjazd mój jest konieczny, ponieważ cenzura (polska) nie chce puścić mego artykułu pt. *Kiwerowa Górka*, w którym wystąpiłem przeciwko „nienagannemu” układowi. Pisząc ten artykuł, wiedziałem już od ministra Augusta Zaleskiego o przebiegu pewnej konferencji generała Sikorskiego z ambasadorem sowieckim Majskim. Wiedziałem mianowicie, że gdy generał Sikorski domagał się zmiany jakiejś formuły, ambasador Majski wzruszył ramionami i oświadczył, że formuła jest zupełnie obojętną rzeczą, podczas gdy faktem jest, że ziemie zajęte przez Rosjan we wrześniu 1939 r. stanowią własność Sowietów. Jedynie w drodze jakichś układów może nastąpić oddanie Polsce pewnych drobnych terytoriów.

W dalszych rozmowach Sikorski–Majski nie brał już udziału minister Zaleski, natomiast towarzyszył generałowi znany a sympatyczny agent brytyjski, Mieczysław [*sic*] Retinger, dzisiaj m.in. członek Instytutu Historycznego im. gen. Wł. Sikorskiego. Sprawa granic wschodnich była już przegrana, sprawa niepodległości Polski miała być przegrana nieco później. Minister Stroński cytuje z tryumfem art. 1 protokołu polsko-sowieckiego: „Rząd ZSRR uznaje, że układy sowiecko-niemieckie z r. 1939, dotyczące zmian terytorialnych w Polsce, utraciły swą moc”. Niestety, Rosja od samego początku interpretowała to zdanie w sposób, w jaki je interpretować chciała. Przekreślenie układu sowiecko-niemieckiego bynajmniej nie oznaczało powrotu do granic ryskich, przeciwnie, Rosja stała na gruncie tzw. plebiscytów, przeprowadzonych w jesieni czy z początkiem zimy 1939 r. na wschodniej połowie ziem Rzeczypospolitej. „Nienaganny” traktat, zawierając m.in. straszliwe słowo „amnestia”, pograżał sprawę polską pod względem moralnym.

Otóż dnia 2 sierpnia rano przybyłem do Londynu. Znowu bawię się w guślarza. Pierwszym człowiekiem, który zwrócił się do mnie, żądając, bym wycofał artykuł skierowany przeciwko traktatowi, był ówczesny minister Kot...

Wszelki duch! jakaż potwora!  
 Widzicie w oknie upiora?  
 Jak kość w polu, wybladły;  
 Patrzcie, patrzcie, jakie lice!  
 W gębie dym i błyskawice;  
 Oczy w głowie wysiadły,  
 Świecą, jak węgle w popiele;  
 Włos rozczochrany na czele.  
 A jak suchy snop cierniowy  
 Płonąc, miotłę ognia ciska:  
 Tak od potępieńca głowy  
 Z trzaskiem sypią się iskrzyska...



Straszna mara! Upiór! A kysz! A kysz! I z tym upiorem przeprowadziłem dialog bardzo krótki, zainaugurowany czule, urwany szybko, który podaję w brzmieniu dosłownym:

Upiór: Panie Zygmuncie, każde słowo przeciwko traktatowi jest zdradą kraju!

Ja: Ten traktat jest zdradą kraju.

Upiór: Taaak? Wszystko skończone między nami.

Ja: Skończone.

Lecz rozmowy nie skończyły się. Prowadziłem je albo sam, albo przy pomocy Dra Grydzewskiego z ministrem Kotem lub na zmianę z ministrem Strońskim bez przerwy od dość wczesnego rana, bo od jakiejś dziewiątej do czwartej po południu. Prowadziłem te rozmowy na czczo, w ogromnym upale i przy ogromnym nacisku ze strony obu ministrów. Wtedy cieszyłem się jeszcze jakim-takim zdrowiem, jednakże wyznaję, że w pewnych chwilach byłem bliski zemdlenia. Obu ministrom zależało bardzo na tym, by „Wiadomości Polskie” nie wystąpiły z atakiem przeciwko traktatowi, obu nam, tj. Grydzewskiemu i mnie, zależało na tym, by „Wiadomości Polskie” skwalifikowały traktat w sposób, na jaki zasługiwał. Decyzja, niezgodna w życzeniami rządu, zapadła wieczorem. Artykuł ukazał się, choć w drodze długich targów wschodnich z cenzurą (polską), nastąpiło wykastrowanie pewnych ostrzejszych definicji. Niemniej ów artykuł, który zainaugurował opozycję prasy, zawierał krytykę traktatu i – to największy powód mej dumy – wyrażał przekonanie, że Rosja przy pierwszej sposobności, wierna swym historycznym tradycjom, zerwie ów układ.

Minister Stroński, broniąc „nienagannego” traktatu, pomija powstanie opozycji, która przecież nie była ani kaprysem kilku jednostek, ani też nie była wyrazem osobistej niechęci tych jednostek czy coraz większych ugrupowań przeciwko generałowi Sikorskiemu. W społeczeństwie emigracyjnym wzrastała świadomość, że traktat był zawarty zbyt pośpiesznie, w sposób wysoce niefachowy oraz że przyniósł ogromną szkodę sprawie polskiej. Świadomość tę wzmacniał fakt, że cenzura (ciągle jeszcze polska) zaczęła tępić wszelkie wzmianki o Lwowie i Wilnie, motywując skreślenia tym, że nie należy „drażnić” Rosjan. Równocześnie prasa rządowa piała hymny na cześć rozwoju przyjaźni polsko-rosyjskiej.

Ani redakcja „Wiadomości Polskich”, ani ich redaktorzy nie prowadzili pamiętników, jednakże ocalały w naszym archiwum pewne curiosa. Należy do nich m.in. szpalta mego artykułu, w którym cenzura (ciągle, *of course*, polska) skreśliła nazwę Lwowa i Wilna, polecając te nazwy zastąpić słowami „nasze miasta”. Żeby „nie drażnić”. Gdy jakiś niższy urzędnik ambasady rosyjskiej przy rządzie polskim przyniósł do polskiego ministerstwa informacji album *Beautiful Poland* i gdy zaprotestował przeciwko umieszczeniu w owym wydawnictwie fotografii przedstawiających miasta i krajobrazy Wschodniej Polski, wyjaśniono mu, że album został wydany przez firmę prywatną. Nikt nie wyrzucił tego urzędnika za drzwi...

Sytuacja pogarszała się z dnia na dzień i wreszcie stało się rzeczą jasną, że w grę nie wchodzi już nasze granice, ale nasza wolność i niepodległość. „Nienaganny” traktat działał, choć rząd i prasa rządowa w dalszym ciągu nie chciały widzieć niebezpieczeństwa. „Dziennik Polski”, pod kolejną redakcją p.p. Karczewskiego,

Sopickiego i Szerera, piał hymny pochwalne, opozycja zaś, coraz to liczniejsza, mówiła coraz głośniejsze, że idzie o niepodległość Polski. Z owych czasów zachował się w archiwum redakcji „Wiadomości Polskich” niezmiernie ciekawy list pewnego ministra, który jest do dziś dnia ministrem. Pisał on do mnie z wyrzutami, ganiąc mnie z powodu polityki opozycyjnej, jaką uprawiałem konsekwentnie od dnia zawarcia traktatu. Twierdził, że wszystko rozwija się jak najlepiej, że generał wszystko a wszystko przewidział oraz że nie stracimy ani piędzi ziemi... A wtedy było już jasne, że nie idzie o piędź ziemi, lecz o piędź niepodległości.

Przykra to rzecz powoływać się na rozmowę prowadzoną w cztery oczy, bez świadków, z kimś, kto już nie żyje. Niech mnie rozgrzeszy to, że z kolei po pierwszej rozmowie bez świadków zacytuję drugą, jaką przeprowadziłem z generałem Sikorskim w obecności kilkudziesięciu świadków.

Lecz zanim streszczę owe dwie rozmowy, pozwolę sobie wywołać jeszcze jedną marę, mianowicie marę niewielkiego kalibru. To jakby Józio z II części *Dziadów*:

Czego potrzebujesz, duszyczko,  
Żeby się dostać do nieba?...

W końcu stycznia 1942 r., gdy „Wiadomości Polskie” miały już dobrze ustaloną markę w ambasadzie sowieckiej w Londynie, przyszedł do mnie Dr Karol Estreicher. (Dam mu „dwa gorczyce ziarnka”.) Pokręcił się po pokoju i wreszcie rzekł: „Ach, po cóż owijać rzecz w bawełnę? Generał życzy sobie, by pan pojechał do Rosji”. Usłyszawszy to, wyraziłem życzenie, by powtórzył tę propozycję o tyle dziwną, że było to już po serii aresztowań członków polskiej ambasady w Kujbyszewie. Usłyszawszy ponownie tę samą propozycję, spytałem, czy mój powrót stamtąd można uważać za rzecz prawdopodobną.

– Ależ oczywiście... Skądże znowu? Cóż za przypuszczenia...

Zgodziłem się jechać. Zgodziłem się, ponieważ wielu gorących zwolenników układu, tak cywilnych, jak wojskowych, tchórzyło, gdy spotkała ich propozycja spędzenia weekendu w Kujbyszewie. Zresztą bolszewicy okazali się gentlemanami i odmówili mi wizy wjazdowej. Na przekór faktowi, że stosunki moje z generałem Sikorskim uległy pogorszeniu, a raczej zerwaniu, jestem pewien, że nie on był autorem wysłania mnie do Rosji.

Stwierdziwszy to, przechodzę do pierwszej z rozmów. Odbyla się na zaproszenie generała w Bryanston Court przed którymś z rzędu wyjazdem generała do Rosji. Był bardzo zmęczony i rozbity. Pomnę, że spóźnił się o jakiś kwadrans, zatrzymany na dyplomatycznym śniadaniu, podczas którego zapewne nie mógł wymówić się od kieliszka sherry czy wina, choć raczej stronił od alkoholu. Chodził ze mną, spacerował po dużej sali w milczeniu i wreszcie rzekł: „Niech pan przestanie atakować rząd generała Sikorskiego”. Rozłożyłem ręce jakimś bezradnym ruchem, generał zaś dodał: „A właściwie rząd nie generała Sikorskiego lecz Stanisława Mikołajczyka”.

Nie mogłem powstrzymać się od wybuchu. Generał Sikorski, choć go zwalczałem od dawna, był zawsze w moim pojęciu Europejczykiem, Mikołajczyk... Mikołajczykiem. Na zapytanie, co znaczy ten zwrot „rząd Mikołajczyka” i co

znaczy ta niespodziana nominacja, nie odpowiedział. Zmęczenie jego rosło. Powtórzył jeszcze raz prośbę o to, bym przestał atakować rząd. Tym razem ja nie odpowiedziałem i zrobiło się jakoś dziwnie przykro. Wreszcie spytałem przyciszonym głosem, dlaczego zawarł traktat w tak niekorzystnych warunkach, skoro np. ze strony dyplomacji amerykańskiej usiłowano mu wyperswadować pośrednio. Czy nacisk ze strony angielskiej był tak silny, że musiał ulec?

– Nie było żadnego nacisku.

– A dlaczego rząd pański robi reklamę Rosji w Ameryce, usiłując wmówić w tamtejszą opinię, że sowieci są krajem wolności religii?

– To dzieje się wbrew mej woli.

Rozmowa druga, niestety, bardzo, bardzo głośna, odbyła się w kilka miesięcy później. Było to już wtedy, gdy cenzura brytyjska dobrała się energicznie do prasy polskiej, krępując nas coraz silniej. „Nienaganny” traktat działał i już nie wolno nam było poruszać sprawy granic wschodnich. Minister Stroński w swej recenzji, broniąc „nienagannego” układu, cytuje słowa noty rządu brytyjskiego z 30 lipca 1941 r., która mówi: „Rząd Jego Królewskiej Mości nie uznaje żadnych zmian terytorialnych dokonanych w Polsce od sierpnia 1939 r.”. Mój Boże, jak można dzisiaj, po doświadczeniach tylu lat, powoływać się na jakiegokolwiek zobowiązania rządu brytyjskiego wobec Polski!

Przechodzę do drugiej rozmowy. W dniu, w którym odbyła się zapowiedziana wcześniej konferencja prasowa u generała Sikorskiego, wszystkie redakcje polskich pism otrzymały od brytyjskiego ministerstwa informacji jednobrzmiący zakaz poruszania sprawy wschodnich granic Polski. Stało się to rano, w południe syndykat dziennikarzy miał konferencję w tej sprawie z ambasadorem Raczyńskim, po południu przybyliśmy zaś do generała Sikorskiego, który, przedstawivszy nam sytuację militarną Niemiec, oddał głos mnie jako ówczesnemu prezesowi syndykatu. Oświadczyłem, że w danej chwili nie interesuje nas sytuacja militarna Niemiec, natomiast interesuje nas sytuacja prasy polskiej w Anglii.

– Panie generale, zakazano nam pisać o Wilnie i o Lwowie. Wszystkie pisma polskie powinny dzisiaj wyjść w czarnych opaskach. Przecież to jest śmierć słowa i myśli polskiej! O czym pisać mamy, jeśli nie o tym właśnie?

– To mnie nie interesuje!

– To źle, panie generale!

Powstało dramatyczne, burzliwe starcie, które obie strony, dosłownie, odchorowały. Rozmowa odbyła się w obecności kilkudziesięciu świadków, pośród których było dwóch ministrów, prof. Stroński i prof. Kukiel. Wtedy widziałem generała Sikorskiego po raz ostatni.

[Wtedy też – jak mamy prawo podejrzewać – autor pierwotnie tekst zakończył. W cytowanym liście do Mieczysława Grydzewskiego z 12 lipca 1946 czytamy: „W ostatnich wierszach [...] biorę Sikorskiego w obronę przed Warszawą. Jest to maksimum, na które mogę się zdobyć. Bardzo mi przykro, ale nie napiszę niczego «na wszelki wypadek»”. Napisał? Czy to argument na zawołaną sugestię „Grydza”? Jakby dofastrygował ostatnie akapity:]

Generał Sikorski na pewno chciał jak najlepiej kierować skolataną nawą polską. To dla mnie nie ulega najmniejszej wątpliwości, lecz również niewątpliwy jest dla mnie fakt, że swe najlepsze intencje przedstawiać zwykł jako rzeczy dokonane, choć były one bardzo dalekie od realizacji. W połowie listopada 1940 r. („Wiadomości Polskie” nr 37), zapytany przeze mnie, jaka jest sytuacja lotnictwa polskiego, odrzekł: „Przy zawieraniu polsko-angielskiej umowy wojskowej zmieniony został układ w sprawie lotnictwa, które do niedawna stanowiło część RAF, podczas gdy obecnie jest jednostką samodzielną i suwerenną jak cała armia polska”. Listopad 1940 r. W czerwcu 1946 r. lotnictwo polskie zostało zaproszone do wzięcia udziału w zwycięskiej paradzie, jako... część składowa RAF.

Próba przywłaszczenia sobie imienia generała Sikorskiego przez «rząd» warszawski jest chwytem, który musi wywołać jak najgorętszy protest, gdyż generał Sikorski na pewno nie chciał takiej «Polski», jaką przedstawia Bierut. Przeciwnie, chciał na pewno Polski wolnej, niepodległej i całej. W drodze do realizacji tej Polski mylił się bardzo często. Ale mylił się minister Stroński, jak mylą się inni członkowie wydziału Instytutu Historycznego im. gen. Wł. Sikorskiego, jeśli sądzą, że historia nie może operować krytyką.

Podał do druku Paweł Chojnacki